

Wystawa w Klubie
Międzynarodowej
Prasy i KsiążkiBARTŁOMIEJ KURKA
Głowa pierwsza (rysunek)WACŁAW TWAROWSKI
Kobieta przy stoleJÓZEF KALISZAN
Głowa tancerki
Fot. (3): K. Przychodźki

Wybitni działacze KPP

Edward Próchniak - „Sewer“

4. XII. 1888 roku w rodzinie zwrótniczego kolejowego Puławach przyszedł na świat syn. Dano mu imię: Edward. Oznaczał się niepospolitymi zdolnościami, ale trudne warunki rodzinne pozwoliły mu na skończenie zaledwie elementarnej szkółki w Końskowoli. Po jej ukończeniu pracował u piaszycy gminnego, a potem w kancelarii Instytutu Rolniczego w Puławach. W tym czasie poznał rewolucyjnych studentów — Polaków i Rosjan. Gdy miał 15 lat, był już członkiem SDKPiL i pracował pod kierunkiem Feliksa Dzierżyńskiego w słynnej w 1905 roku WRO, która zorganizowała powstanie w garnizonie stacjonującym w Puławach. Po stłumieniu powstania przez władze carskie Próchniak wraz ze swym przyjaciółm Formejstem ukrywali się przez kilka dni w okolicznych wawozach, po czym Próchniak musiał opuścić Puławę i przejść do pracy podziemnej.

W okresie reakcji 1906 roku przebywał w Zawierciu. Tu został po raz pierwszy aresztowany i wyrokem skazany na dożywotnie osiedlenie na Syberii. Na ostatnim widzeniu przed zesłaniem narzeczona, a później żona Sewera, wręczyła mu książeczkę do nabożeństwa, w której oprawiony był paszport i 25 rubli. Toteż Sewer po trzydniowym pobycie na Syberii uciekł i jesienią 1907 roku wrócił do Warszawy.

Narzeczona Próchniaka pracowała wtedy w szkole. Pewnego jesiennego dnia, w drodze do szkoły, spostrzegła, że ktoś

NOWY
ŚWIATTYGODNIOWY
DODATEK „GŁOSU“
Niedziela 13 V 1956
Rok VII Numer 19O potrzebie prawdziwej
opinii publicznej

1.

Nie wiem czy, gdyby mnie za pytano na czym polega demokracja, potrafiłbym na to pytanie w sposób wyczerpujący odpowiedzieć. W każdym razie zdaje się dla mnie nie ulegać absolutnie żadnej, powtarzam, żadnej wątpliwości, że w ustroju demokratycznym decydującą a więc i ostateczną rolę w kierowaniu losami państwa posiada sam lud. To znaczy, przekładając to na język praktyczny, władza jest sprawowana w imieniu ludu, dla ludu przez urzędników (czyli rząd) odpowiedzialnych wobec przedstawicieli narodu w Sejmie. Ta zasada jest prawdziwą w ogóle, a więc tym bardziej u nas, w państwie budującym socjalizm, gdzie u podstaw ustroju leży wadliwość ludu przekształcającego się w społeczeństwo socjalistyczne.

Ażeby jednak ta formuła pełnego, niczym nie ograniczonego ludowładztwa mogła się stać rzeczywistością (a nie tylko w podręczniku prawa państwowego prof. Rozmaryna) podstawą realizacji bezspornych praw mas ludowych, trzeba żeby istniały dwa czynniki: musi się wyzwolić prawdziwa opinia publiczna, a Sejm stać się pełnym wyrazicielem nieskrępowanej woli narodu.

2.

W związku z tym warto tutaj powtórzyć pewne dawno od kryte i sprawdzone w historii prawdy, których nie chcą uznać ludzie małego ducha, ludzie o zatrwożonych duszyczkach doktora Paula, którego duch straszy po Polsce. Prawdy te ujmuję w cztery następujące punkty:

1. Jeżeli stworzona jest sytuacja, w której na przykład mnie ktoś zmusza do milczenia, to wcale to nie znaczy, że moje poglądy są fałszywe. Mogą być równie dobrze prawdziwe. Zaprzeczający tej możliwości stawia siebie w położeniu człowieka nieomylnego, a ostatecznie doświadczyliśmy zbiorowo do wniosku,

Piotr Guzy

że nie ma nieomylnych ludzi na świecie. Kult jednostki XX Zjazd potępił ostatecznie.

2. Nawet jeśli moja opinia jest błędna, może jednak zawierać, najczęściej zaś zawiera na pewno pewną część prawdziwej. Panująca i obowiązująca opinia przeważnie nigdy, a w każdym razie bardzo rzadko zawiera w sobie prawdę w sposób całkowity. Zawsze można ją udoskonalić. A zatem z tego wniosek: pełną prawdę można uzyskać jedynie w starciu z odmienną opinią, dążącą do tego samego celu, choć nieco innymi drogami.

3. Jeżeli przyjęta, obowiązująca opinia jest rzeczywistością prawdziwą, a nie podlega krytyce względnie polemice, to dla większości swoich wyznawców czy zwolenników nie będzie ona czymś żywym, czymś do czego dochodzi się samemu drogą rozumową (a przecież tylko wtedy jakieś przekonanie jest coś warte), a wyłącznie stanie się dogmatem. Prowadzi to bezpośrednio do skostnienia wszelkiej twórczej myśli, do niewolnictwa umysłowego w pierwszym rzędzie, potem do przerostu administracji i nadużycia środków przymusu. Uczy tego, jak wykazał XX Zjazd KPZR, historia, której nauk nie wolno lekceważyć.

4. Wreszcie, jeśli skostniała opinia jest czymś nienaruszalnym, ulega osłabieniu, nawet jeżeli jest prawdziwa, jeżeli więc nie będzie się ciągle ściemniała z opiniami przeciwnymi, stanie się z czasem niezdolną do pobudzenia ludzi do twórczego wysiłku umysłowego. Stanie się przeszkodą w rozwijaniu szczerych przekonań zdobytych drogą poznania umysłowego a nie fideistycznego. Człowiek staje się wtedy bezmyślnym automatem.

3.

Socjalizm jest dla mnie najpiękniejszym ustrojem, jaki rozum i serce ludzkie dotychczas odkryły. Socjalizm oznacza dla mnie nie tylko jak najwyższą stopę życia, ale przede wszystkim taki stan świadomości, w którym każdy członek społeczeństwa czuje się naprawdę współgospodarzem kraju. Taka świadomość jest możliwa jedynie przy pełnej swobodzie inicjatywy, przy wolności słowa i myśli budowniczych nowego ustroju. Konstytucja Polski Ludowej taki stan świadomości nie tylko postuluje, lecz go prawem usankcjonowała. Z jedynym wyjątkiem: nie wolno w Polsce propagować wojen, rasizmu i faszyzmu. Sądzę, że nie ma w Polsce takiego człowie-

ka, który by odmówił pod tym swego podpisu.

Władze, które postawiły na czele aparatu państwowego, muszą zgodnie z postulatami i uchwałami naszej partii liczyć się z prawdziwą opinią publiczną. Dotychczas po większej części bywało tak, że prasa np. usiłowała społeczeństwu sugerować co powinno na dany temat myśleć. Rezultatem tego była niewiara w słowo drukowane, „dętna mowa“, cynizm itd.

Istniała rozbieżność opinii oficjalnej i prywatnej. Trzeba, żeby ten rozdźwięk się skończył. Kształtowanie opinii publicznej.

(DOKOŃCZENIE NA STR. 2)

Kazimierz Jaźwiecki

TAJEMNICA OSUSZA

Reportaż

Na jednym z piaszczystych wzgórz rozległej niziny, porosłej trzciną, sitowiem, rogoziną i kepkami anemicznej wikliny, stanął pewnego wiosennego ranka licho odziany, młody, barczysty mężczyzna. Zrzucając z ramion spory tobolek rozejrzał się po okolicy. Co za piękny widok! Równinny czworokąt, zamknięty ze wszystkich stron wysoką ścianą lasu. Tu i ówdzie odbija się w słońcu lustro wody, nieopodal szemrze leniwie płynący strumyk. Naokoło słychać oznaki życia mieszkańców tego morza szuwarów: wodnego i błotnego ptactwa.

Po dłuższej obserwacji terenu, człowiek odwrócił się powoli i powiedział parę słów do siebie w pobliżu kobiety. Rozkazał jakowyś polecenie, bo nie czekając na odpowiedź zrzucił wierzchnie nakrycie. Raz po raz przystawał, ocierając wierzchem dłoni pot zalewający mu oczy. Obok pogłębiającego się dołu rósł z godziny na godzinę stos gałęzi, sitowia i wyrwanych z ziemi krzaków jałowca. To wynik pracy kobiety.

Gdy słońce schyliło się ku zachodowi, chatka-ziemianka była gotowa, obok płonęło ognisko. Chłop z lubością wciągał w nozdrza zapach warzonej kasha. Po wieczery nowe zadanie: znoszenie chrustu i mchu. Gdy pierwsza gwiazda zajaśniała na nieboskłonach, w chatce rozległo się już potężne chrapanie.

Mineło kilka lat, gdy w osiedlach rozrzuconych za lasami rozeszła się wieść, że na mokradłach zamieszkali ludzie. „E, gdzieby tam, na takim pustkowiu“ — zlekceważono wiadomość. Wieść odżyła jednak je-

Lucja Danielewska

WIECZORNY WIERSZ

Dzień naszymi godzin
w lilowym tonie zmierzchu,
Trzeba rozłożyć lampę
ażebym półmrok pierchnął.

Ażeby w podłuż ściany
zaczęło chodzić cieniem,
Tweju zadumanej głowy
najbliższe poruszenie.

A kiedy wiersz zakończysz
na ścianie śmignie grotem,
Rozpiętej kartki zarys
jaskółczych skrzydeł lotem.

RADOŚĆ Z CODZIENNOŚCI

Przechodzi noc blednaca
Nad spletem naszych dłoni,
O świetle z gursią słońca
— Dzień dobry — ptak wydzwonił.

Ten pierwszy zwiastun godzin
Uliczne zbudził echa,
Jak dobrze mieć cię co dzień,
Gdy we śnie się uśmiechasz.

Za oknem klon się trzęsie
Radosnym ptasim świrem,
A słońce wśród galezi
Zawiesza złotą lirę.

Nim miasto się rozbudzi,
Nim w tramwaj wsiądę ranem,
Nim nowych poznam ludzi,
Uśmiechnij się kochanie.

Poznań 1955.

sienią, kiedy kobiety zbierające grzyby doniosły, że od strony mokradła dochodziło pianie koguta i bek cielecia. Co bystrzejsi chłopcy wybrali się tam, by zbadać co i jak. Osiedlenie nie było rozmowne, nie powiedział ani skąd pochodzi, ani co go skłoniło do zamieszkania w tym miejscu. Przybyli zauważyli jedynie obok chatki dwóch baraszkujących małców, trzeci zaś wygrzewał się na słońcu w koszyku uplecionym z wikliny. Nie opodal wzniesienia osiedlenia przekopał kilka rowów i z mokradła uczynił pastwisko dla krowy i cielecia. Z drugiej strony chatki goście widzieli rosnące proso i jęczmień. Widocznie nie przybył zaledwie na uprawę roli. Z taką relacją powrócili chłopcy do Lutogniewa.

— Osuszył mokradło, cie, cie — wyrwało się któremuś ze słuchaczy.

Od tej chwili na odludziu zjawiali się często ciekawcy. Podziwiali zapobiegliwość, spryt i skrzętność obcego. Wyrwał przecież wodzie kawał ziemi.

— Kaj byłeś? Na osuszy. Kaj idziesz? Na osusz. Co tam nowe go na osuszy?

Takie i tym podobne pytania i odpowiedzi krzyżowały się w rozmowach, a ponieważ nikt nie znał osiedleńcy, ani nie wiedział, jak się nazywa, przylgnęło do niego nazwisko: Osusza.

Zaludnienie pustkowią wzrastało z roku na rok. Pionier — jak byśmy go dziś nazwali — przyszedł się, postarzał. Za to w obejściu dorastało sześciu dziarskich chłopaków i cztery dziewczęta. Na miejscu ziemianki wyrosła obszerna chatka z gliny, pokryta trzciną. Młodzi nie stroniли już od ludzi, jak ich ojciec. Coraz częściej przemierzali milowe przestrzenie do najbliższych wsi. Jedną po drugiej wyrastały na wzniesieniu nowe chaty, rozlegał się w osiedlu płacz i wesołe pokrzykiwania dzieci.

Tu kończy się legenda
a zaczyna historia

Nowe pokolenia osiedleńcy, wolnego kmiecia Osuszy, żyły sobie szczęśliwie we wspólnocie rodzinnej, aż wdał się w sprawę szlachcic, nazwiskiem Rudnicki, „pan okolicznych wsi i lasów wraz z ogrodami, sadami, polami, łąkami, pastwiskami, kmieciami, zagrodnikami i ich żonami“ i zapędził osuszan w jarzmo niewoli i feudalnej zależności. Tak powstała nowa wieś, nazwana przez grabieżcę i zarejestrowana w kaliskich aktach grodzkich jako Osusz.

Drugą wzmiankę o historycznym Osuszu pod Krotoszyńskim znajdujemy w archiwach z 1633 roku, kiedy to spadkobiercy owego Rudnickiego sprzedali wieś magnackiej rodzinie Rozdrażewskich za 50 tysięcy zło-

tych polskich. Różne koleje przechodził Osusz od tej historycznej daty, różnymi panom musieli służyć jego mieszkańcy. Raz oddano wieś pod zastaw udzielonej Rozdrażewskim pożyczki, następnie stanowiła posag dla Zofii z Rozdrażewskich Weżykowej, kasztelanowej kaliskiej. Potem znowu wróciła do Rozdrażew. Pewne go razu podczas libacji w Końskanie, jeden z Rozdrażewskich przegrał Osusz w karty na rzecz jakiegoś szlachciny — Franciszka Gałęckiego. W roku 1750 nabył całe dobra krotoszyńskie wraz z Osuszem potężny naówczas ród Potockich, by w roku 1779 sprzedać je podstarżonemu przez Prusaków Stanisławowi Gadomskiemu, podkomorzemu sochaczewskiemu.

Po przejęciu klucza majątków od Gadomskiego, rząd pruski sprzedał je z kolei księciu von Thurn und Taxis. Do ciężarów pańszczyzny doszły tedy dla mieszkańców Osusza prześladowania narodowe, stosowane z wilczą zjadłością przez szwabską administrację dóbr. W miarę rozwoju pruskiej drogi do kapitalizmu w rolnictwie, w miarę przenikania poprzez ściśle kordony idei wielkiej rewolucji francuskiej, zmieniła się również sytuacja osuszan. Poprzez rentę odrobokową i czynsz pieniężny, doszli wreszcie w roku 1857 do uwłaszczenia, stając się pełnoprawnymi właścicielami ziemi, zagrabionej im ongiś przez polskiego magnata.

Przetrywali osuszanie okresy rugów z ziemi, nacisk pruskiej komisji kolonizacyjnej, wytrwali na swych pozycjach podczas bismarckowskich sztych gospodarczych. Doczekali się pierwszego wyzwolenia narodowego w 1918—19 roku. Wegetowali w okresie międzywojennego dwudziestolecia, nie mając warunków na wyciągnięcie ze swej podmokłej ziemi odpowiednio wysokiej produkcji. Utworzyli spółkę drenarską (prosta forma kooperacji), zmiełowali wspólnym wysiłkiem i nakładem swoje pola i łąki. Za nim jednak przyszły spodziewane rezultaty, wybuchła druga wojna światowa, a z nią razem nadciągał hitlerizm i... wysiedlenie osuszan, pięcioletnia tułaczka chłopskich rodzin.

Razem z żołnierzami Armii Czerwonej powrócili w 1945 roku do swych zagrod. Zastali je puste. Rozpoczęli więc nowe życie, w nowych warunkach, warunkach Polski Ludowej.

Po 18 latach

W upalny dzień lipcowy 1955 roku wysiadłem na stacji w Krotoszyńcu z zamiarem odwiedzenia starych znajomych w odległym o 3 km Osuszu. By-

(Dokończenie na stronie 2)



Rys. L. Kapczyński

O potrzebie prawdziwej opinii publicznej

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 1)

blicznej polega na stworzeniu warunków i możliwości dla twórczego ścierania się z sobą różnych poglądów. Nasze społeczeństwo jest zdrowe i ma głowę dobrze umeblowaną. Mimo wszystkich błędów i zbrodni, jakie niosło z sobą panowanie berio-wszczyzny, ludzie nie stracili wiary w socjalizm. Wprost przeciwnie, jeszcze nigdy w naszym dziesięcioleciu nasz ustrój nie miał takiego kredytu społeczeństwa jak obecnie. Jest to najbardziej optymistyczny fakt, który wylania się z toczącej się w całej Polsce nieustannej dyskusji.

A Polska aż huczy od dyskusji. Prasa nasza — jak dotychczas — w połowie nie oddaje jej temperatury. Masy naszego kraju, nasz naród w olbrzymiej swej części chce socjalizmu i jest gotowy, w granicach, jakie zakłada godność ludzka, na wszelkie ofiary konieczne dla osiągnięcia naszego celu: socjalizmu. Ale społeczeństwo musi wiedzieć co się dzieje i musi mieć możność publicznego wyrażenia swojego sądu. Rzecz w tym, żeby do rządu i partii zwracać się nie tylko z prośbą o ingerencję, ale aby żądać uwzględnienia naszych postulatów, poprawek w polityce tak wewnętrznej jak i zewnętrznej.

Żeby zatem powstała u nas prawdziwa, rzetelna opinia publiczna, konieczne jest spełnienie dwóch warunków. Pierwszy: prasę trzeba informować, bo prasa musi lepiej informować czytelnika. Wszystkich jednakowo. Nie może być w Polsce sfer pod tym względem uprzywilejowanych, pełny tekst wywiadu Molleta udzielonego przedstawicielowi amerykańskiej agencji prasowej musi być dostępny każdemu czytelnikowi. Dalej: na łamach prasy powinni zabierać głos wszyscy ci, którzy mają coś rozsądnego do powiedzenia na temat rządzenia i gospodarki w Polsce, na temat takich czy innych połączonych praktycznych. A to oznacza nie tylko zwiększenie prawdziwej a więc swobodnie formułującej sądy, komentującej publicystyki, ale również publikowanie opinii czytelników np. w formie listów do redakcji, zachęcenie ich do samodzielnego występowania w sprawach politycznych a nie tylko w sprawach tzw. bolączek.

Naród chce myśleć samodzielnie. Do myślenia potrzebne są fakty. Bez faktów, bez pełnych faktów, nie ludźmy się, społeczeństwo również będzie miało swój sąd, ale będzie to sąd nie pełny, mylny. Chcemy, żeby na podstawie jak najszerszej informacji (dopiero w roku 1956 uka-

zał się „Rocznik Statystyczny”) można było kształtować sądy słuszne. Społeczeństwo to ludzie dorośli, którzy nie potrzebują szczepień ochronnych.

Drugim ujęciem dla opinii publicznej winien być Sejm. I tu było źle, daleko zaś jeszcze do tego, by było zupełnie dobrze. Mamy nadzieję, że skończyła się praktyka, gdzie Sejm zbierał się na kilka dni w roku, by gremialnie i jednomyślnie uchwalił przedłożone mu przez rząd uchwały. Ale po to, by Sejm mógł rzeczywiście spełniać rolę najwyższego reprezentanta i suwerena narodu, praktyczna jego działalność musi się oprzeć na innych niż dotąd zasadach. Ostatnia sesja wskazuje drogę, po której powinien kroczyć nasz ludowy parlament. Prasa musi szczegółowo, bardziej szczegółowo niż dotychczas informować opinię publiczną o pracach Sejmu. Należałoby w tym celu powołać do życia specjalne czasopismo, w którym na bieżąco będą publikowane szczegółowo stenogramy z obrad Sejmu. Przy nazwisku każdego posła trzeba wymienić okręg, jaki reprezentuje.

Po co? Po to, by społeczeństwo mogło wywierać swój wpływ na poszczególnych posłów. By mogło ich działalność ocenić, ustosunkować się, zgodzić się z Konstytucją, do jego działalności. Ale to nie wystarczy. Reformie musi ulec charakter samego posła. Wysokie przekroczenie normy pracy nie może być wystarczającym kryterium dla obdarzenia godnością poselską. Posel to ktoś, kto cały swój czas poświęca praktycznemu życiu politycznemu: przy gotowywaniu uchwał, kontroli rządu. Dalej, poseł musi być rzeczywiście odpowiedzialny przed wyborcami, tak samo jak każdy poszczególny minister i cały rząd muszą być nie tylko w teorii, ale i w praktyce odpowiedzialni przed Sejmem. Jak bardzo wzmochnąłby prestiż Sejmu, gdyby nie rząd a Sejm zażądał by dymisji ministra kultury i ministra sprawiedliwości.

Czy rzeczy, które tu postuluję, godzą w jakikolwiek sposób w dyktaturę proletariatu? Wprost przeciwnie: umacniają ją, rozwijają, poszerzają, czynią z niej rzeczywiste władztwo proletariatu.

SZUKAMY STOLICY POLSKI

Nad Wartą w powiecie ślupeckim (dawniej kołomyjskim) leży wieś Ląd. Zna ją jak aktywiści z tego, że jest tu czynna spółdzielnia produkcyjna. Zna ją jak historycy sztuki z liczących zgrupowanych tu wspaniałych zabytków sztuki. Lecz mało kto wie o tym, że tu właśnie miała być najstarsza stolica Polski.

Około roku 800 anonimowy mnich jakiegoś klasztoru w Bawarii spisał wszystkie znane mu plemiona słowiańskie osiadłe na północ od Dunaju. Geograf Bawarski (tak bowiem nazwano autora opisu) wymienił tylko na zwykłe plemię i liczyły grody. Znajdujemy więc tu Ślązan, Goplan (czyli Kujawian), Wiślan i wiele innych, lecz brak jest samych Polan. Występując natomiast nazwa — „Lendici 98 civitas” — czyli „Lędzice 98 grodów”...

Większość historyków polskich uważa, że Lędzice lub Lędzianie to dawna nazwa Polaków. Zmarły niedawno prof. Zygmunt Wojciechowski podkreślał, że południowi i wschodni sąsiedzi Polaków, nazywając nas nie słowami wywodzącymi się od rdzenia Polaka, ale od rdzenia Lend czy Land, Tak na przykład Litwini mówią na nas Lankas, Węgrzy Lengyel, — stare kroniki ruskie nazywały nas Lachami z przymiotnikiem lachski. Wojciechowski typuje Ląd jako siedzibę stołeczną tego plemienia, które dopiero w ciągu następnych 200 lat zmieniło nazwę na Polan.

W okresie rozbitcia dzielnicowego, dzielnicę często nazywały granicami i nazwami do danych obszarów piennych. W XIII wieku zjawia się więc księstwo lędzkie. Do końca XIII wieku Ląd jest centrum administracyjnym kasztelanii pokrywającej się mniej więcej z granicami obecnych powiatów: ślupeckiego, kołomyjskiego i kołomyjskiego. Osadzenie w Lądzie cystersów zmienia miejscowość na siedzibę władz kościelnych, a ośrodek administracji państwowej przechodzi do Konina. Jednak w sensie Polski szlacheckiej za czasów się do końca XVIII wieku tytuł kasztelana lędzkiego.

Na łkach nadwarciańskich w Lądzie wznosi się potężne grodzisko piennicowe z podgórzami. Czasem piug wydobywa na powierzchnię jakas skorupę, to znów jakieś zardzewiałe żelazo. Wszystko to może się przyczynić do wyjaśnienia hipotezy o Lędzicach, o Lądzie, o Polsce przedpiastowskiej. Może cofnąć historię naszego państwa o 200 lat!

Czy nie warto więc dokończyć tam wykopalisk? (Z. P.)

Edward Próchniak - „Sewer”

(Ciąg dalszy ze strony 1)

chacz do bolszewickiej szkoły partyniej pod Paryżem, kierowanej przez Włodzimierza Lenina. Jesienią 1911 roku powraca do kraju, do Zagłębia. Wkrótce jedzie do Łodzi, gdzie w 1912 roku znów zostaje aresztowany. Tym razem zawiodły wszelkie środki ratunku. Wyrok sądu brzmiał: 8 lat katorgi (5 lat za przynależność do SDKPiL i 3 lata za ucieczkę z Syberii).

Do 1913 roku przebywał w więzieniu mokotowskim, po czym zostaje ewakuowany do Rosji, gdzie osadzony zostaje w Butyrkach w Moskwie. W 1917 roku wraz z innymi więźniami politycznymi zostaje oswobodzony przez robotników moskiewskich i natychmiast przystępuje do pracy partyniej.

Współpracuje z towarzyszem Dzierżyńskim; można go było spotkać w redakcji rewolucyjnego pisma polskiego, wydawanego w Moskwie — „Trybuna”. Jak wspomina go towarzysze, zawsze pogodny i uśmiechnięty, pełen wewnętrznej skrupuła, optymistą, dawał w najcięższych chwilach ducha współtowarzyszom. W 1919 roku wraca do kraju, lecz tu zostaje znów aresztowany i obwiniony o komunizm. Jako więźnia politycznego zdolnego go wymienić i umożliwić wyjazd do ZSRR. W 1920 roku wraz z Armią Czerwoną powraca do Polski. Zostaje wówczas sekretarzem Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego Polski w Białymstoku. W skład tego komitetu wchodził J. Marchlewski, F. Kon i F. Dzierżyński. W archiwum Wydziału Historii PZPR znajduje się wiele dokumentów z podpisem Próchniaka oraz jego mandat jako członka Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego — pierwszego rządu rad, pierwszego władzy robotniczo-chłopskiej w Polsce.

Od 1923 roku był Próchniak bez przerwy członkiem KC i Biura Politycznego KC KPP, jednym z najwybitniejszych jej przywódców.

Niezwykle skromny, nie lubił opowiadać o swoich bogactwach przeżytych rewolucjonisty. Zamknięty w sobie, nerwowo, na zewnątrz jednak pogodny, dobrze oddziaływał na towarzyszy. Cenił go bardzo jako znakomitego organizatora pracy partyniej, szczególnie dobrze wyczuwającego nastroje szerokiej masy.

Skromność jego, często posunięta do przesady, przejawiała się wyraźnie w stosunku do tych, którzy starali się podnieść jego zasługi wobec partii. Tym Sewer kiedyś odpowiedział: „Rewolucjonista nie robi z siebie ofiary, walkę mają we krwi i jest im ona potrzebna jak życie”. W tych krótkich słowach dał wyraz swej skromności, dał świadectwo, że był wiernym uczniem Lenina.

Halina GRABOWSKA

Tajemnica Osusza

ić. Tak jest — potwierdza młody człowiek — a właśnie w 1952 r. oni pierwsi zaorali tę kość niezgody między swoimi polami. Za nimi poszli wszyscy.

A tam co za piękny, murywany dom? Zaczynam przywoływać obraz przeszłości. Nie, tu nie było takiego domu. Aha, to chyba Ludwik Rosik wystawił sobie nowe mieszkanie. Widać obszerne, wygodne, z tarasem i piętrem. I Rosika nie zastanawiam. Mam pecha, czy co? Na tyłach jego zagrody widoczne z dala betonowe silosy. Błysk pamięci. Prawda, projektował ich budowę już w 1937 r. i jakoś nie wychodziło. Teraz wyszło nie tylko u Rosika, ale i u 16 innych gospodarzy we wsi. Ot, i czwarta zmiana.

Transformator? Rzeczywiście. Że też nie zauważyłem dotychczas słupów i drutów, ciągnących się przez wieś z odgalezieniami do każdej zagrody. O jej. A więc już na oko, zewnętrznie naliczyłem pięć zmian w życiu wsi, zmian, jakie przecież osuszanom przyniosło ze sobą Nowe. Wieś już niewiele się różni od miasta pod względem osobistych potrzeb i wygod człowieka. Różnić się będzie zawsze jedynie rodzajem pracy, a inne pozostałe różnice zniwelujemy w przyszłości.

Tajemnica się wyjaśnia

Nareszcie zastałem w domu jednego ze znajomych. Jan Staryński powrócił właśnie z sesji Powiatowej Rady Narodowej, której jest czynnym członkiem od 10 lat. Razem już udaliśmy się w odwiedziny do Pylpowskiego, Ludwiczyńskiego, Ratajczaka, Misiaka, Minty, Szostaka. Zesłali się również i inni, których nazwisk nie zapamiętałem.

I popłynęła barwna opowieść. Jak w kalejdoskopie przesuwają się przed moimi oczami obrazy z niedawnej przeszłości i teraźniejszości. Widziałem trudności i fragmenty walki o to, co nowe w naszej rzeczywistości. Widziałem niepowodzenia i zwycięstwa. Ujrzałem również przyszłość Osusza i jego mieszkańców — przyszłość, która oczekuje jest jeszcze mgłą nie zdecydowania, wewnętrznych oporów i wahań, oczekiwanie nie wiadomo na co. I nie można się temu bardzo dziwić. Natura ludzka jest przecież słaba, a wróg nie śpi, lecz podsyca gdzie i jak może opory, podrywa zaufanie do dalszego postępu w gospodarce.

W rozmowie wyjaśniła mi się rzekoma tajemnica osiągnięć gospodarczych Osusza, o której mówi się nie tylko w okolicy. Krotoszyńska. Nie ma jednak w tym nic tajemniczego. Nowa rzeczywistość powojenna spowodowała w Osuszu to samo co i w tysiącach innych wsi — od wpływ ludności do miast, do prze-

mysiu, do szkół. Łącznie prawie 40 osób opuściło wieś. Niektórzy z nich, jak na przykład synowie starego Ludwiczyńskiego, wyścili się karierze naukowej i dziś wykładają na Uniwersytecie Wrocławskim. To więc, co w innych wsiach spowodowało obniżenie poziomu gospodarki rolnej, w Osuszu podnieśli ambicję. Brak ludzi do pracy trzeba zastąpić maszynami. Nie starczy na kupno, trzeba tworzyć zespoły, kupować wspólnie maszyny i wspólnie je użytkować. Łatwiej, ekonomiczniej i sprawniej pójść robotą.

Gospodarka rolna bez inwentarza, to zero — powiedziano sobie w Osuszu. Puste zagrody w 1945 roku należało więc jak najprędzej zapełnić bydłem i trzodą chlewną. Każdy groź inwestowano w hodowlę, bardzo często kosztem poziomu odżywiania się ludzi, kosztem wielu wyrzeczeń i osobistych wygod. Były lata, kiedy nikt, nawet za drogie pieniądze nie kupił w Osuszu cielęcia czy prosięcia. Wszystko dla hodowli! Takie hasło przyswiewało przez lata wszystkim 38 gospodarzom średniorolnym. Oplaciło się sto krotnie.

Spółki maszynowe i wzajemna pomoc sąsiedzka, choć zdawały egzamin sprawności, nie zadowalały jednak Osuszan. Zapragnęli szerszego współdziałania. Żniwa i omloty w 1952 roku i następne przeprowadzali zespołowo, gromadnie, całą wsią — jak w dużym gospodarstwie spółdzielczym. Jako pierwsi w Polsce skosili, wymłócili, zrealizowali obowiązkowe dostawy, uprawili glebę, zasiali, dokonali wykopków. Szybko, sprawnie i bez strat. Nagroda — elektryfikowanie całej wsi na koszt państwa.

Od 1952 roku, od gromadzkich współdziałania datuje się też najwyższy rozwój gospodarstwa wsi i wzrost dobrobytu jej mieszkańców. W nieurodzajnym 1953 roku, kiedy przeciętny zbiór czterech głównych zbóż w kraju wynosił 10 kwintali, Osuszanie zebrali po 18 kwintali z hektara. I to nie z poletek, lecz przeciętnie z całego 400-hektarowego obszaru. Ta sama przeciętna w 1955 roku wykazała 30 q z ha, podczas gdy ogólnie w woj. poznańskim po 16 q z ha. Gdy w Wielkopolsce mamy przeciętnie po 42 sztuki bydła i po 76 sztuk trzody chlewnej, to Osuszanie liczą sobie po 87 sztuk bydła i po 155 sztuk trzody chlewnej na 100 ha użytków rolnych.

Oto są skutki tajemnicy, która tajemnicą nie była i nie jest. Oby takich tajemnic i takich skutków było w Polsce jak najwięcej...

Osuszanie są jednakże niezadowoleni. Chcą krajowi dać

U źródeł zwycięstw

Następnego dnia mego pobytu w Osuszu odwiedziłem ze znajomymi wielu ich sąsiadów. Obok pięknie utrzymanych ogródków kwiatowych, wychodził nam naprzeciw młody, uśmiechnięty, weseli, zadowolony i gościnni gospodarze. Po zobaczeniu kilku mieszkań, doszukałem się przyczyn i źródeł zwycięstw gospodarczych Osuszan. W każdym mieszkaniu widziałem bowiem szafy biblioteczne, a w nich w większości literatura fachowa, chociaż nie brak i beletrystyki. Sadownictwo, warzywnictwo, uprawa roli i nawożenie, pielęgnacja zbóż i okopowych, popłyny i ich znaczenie, ląki i pastwiska, racjonalna hodowla bydła, tucz świń, chów drobiu — oto bynajmniej nie wszystkie jeszcze tytuły książek. Zabrudzone nieco ich kartki świadczą, że nie leżą w szafach dla ozdoby mieszkań... Ozdobą natomiast i nie tylko ozdobą są aparaty radiowe, adaptery, nowe meble, orzechowe sypialnie, nowoczesne tapczany. Krótko mówiąc — kultura, zamożność i estetyka widoczna w każdym calu.

Oto i wyjaśniona jest tajemnica zwycięstw gospodarczych Osuszan i ich dobrobytu materialnego. Tajemnica, która polega jedynie na pracowitości, zaradności, ppmyślowości, na organizacji pracy, na zespółowym współdziałaniu i przyswajaniu najnowszych zdobyczy wiedzy rolniczej. Oto i wszystko co się z tą rzekomą tajemnicą wiąże.

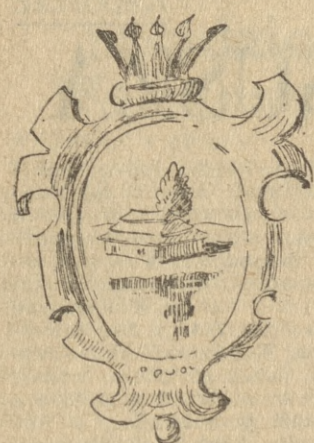
Czy Osuszanie mają jeszcze szersze możliwości podnoszenia produkcji roślinnej i zwierzęcej? Zależy się, że mimo dobrej organizacji pracy, w warunkach indywidualnej gospodarki osiągnęli już górą granicę. Niektórzy z nich zdają sobie z tego sprawę. A ponieważ wszyscy Osuszanie potrafili nie tylko dobrze pracować, ale przy tym i myśleć, dojdą zapewne rychło do konkretnych wniosków, jakie im podkują zdrowy, chłopski rozum. A tego im naprawdę nie brakuje.

Kazimierz JAŻWIECKI



JÓZEF KALISZAN
Wieś życia

Fot.: K. Przychodźki



(Dokończenie ze str. 1)

łem tam ostatnio, kiedy kończyli drenowanie swoich pól. Osiemnaście lat to smat czasu. Jakże dużo zmieniło się w życiu jednostek i całych warstw społecznych — myślałem idąc znaną mi drogą. Jakże zmiany zaszyły w Osuszu? Przecież to nie przypadek, że tak często czytamy o nim w gazetach, widzę fotografie ludzi odznaczonych za osiągnięcia produkcyjne, za pracę społeczną...

Polna droga do Osusza niby ta sama. Znajomy krajobraz, znajome otoczenie, a jednak coś tu jest nowego. Jasne — uśmiechnąłem się sam do siebie — tu było błoto, z którego trudno wyciągało się nogi. Teraz sucho i równo jak na stole. Droga wysypana żużlem, twarda nawierzchnia. Oho, myślę sobie, to już pierwsza widoczna zmiana. Po obu stronach drogi falujące łany zbóż. Patrząc i oczom nie wierzę: pszenica w Osuszu? To pole zdaje się Hipolita Krawczyńskiego, przedwojennego prezesa spółki drenarskiej. Tak, tu obok własnej jego zagrody. Gospodarka nie ma w domu. Idę dalej, lustrując uważnie pola. A do diabła, co za wspaniałe żyto. Biorę dorodny kłos w palce, liczę — 61 ziaren, drugi — 59, trzeci — 62 itd. Obliczyłem — przeciętnie w 30 kłosach po 60 ziaren. Rekord, nie rekord, ale tego w Osuszu nigdy nie było. Już pojmuję skąd te dyplomy, nagrody, odznaczenia.

Nie wiem do kogo należy ten łan żyta, ale to już druga widoczna zmiana. Po chwili idąc dalej przez wieś zauważyłem trzecią zmianę. Na lepsze oczywiście.

Pomiędzy łanami zbóż, polami ziemniaków, seradeli i łubinu nie widzę półmetrowych miedzi, lecz zwykłe bruzdy. Czyżby spółdzielnia produkcyjna? Nie czytałem nic w gazetach o jej powstaniu. Zapytany przechodząc kręci głową przecząc. No, więc, co jest? A nic nadzwyczajnego — słyszę w od powiedzi. Zaoraliśmy miedzę, bo były one rozsądnymi chwastów i siedliskami gryzoni, wszelkiego robactwa. Zyskaliśmy we wsi prawie 3 hektary ziemi. Miedze! Przypominam sobie spory i kłótnie z ich powodu. Olszanowski i Rosik żądali się, chcieli nawet do sądu

Rola ekonomiczna w latach międzywojennych

Dr J. Ziolkowski

konsultant ekonomiczny Zarządu MTP

Targi okresu kapitalizmu były specyficzną formą rozwoju dawnych jarmarków i wystaw dziewiętnastowiecznych, jednocząc w sobie cechy jednych i drugich. Z instytucją dawnych jarmarków wiązała je ich doroczność, szeroki zasięg terytorialny — krajowy czy międzynarodowy, oraz ich główna funkcja: dokonywanie transakcji handlowych. Z wystaw wzięły targa zewnętrzna formę ekspozycji i tendencję do zaprezentowania całości czy ściśle określonego działu gospodarki danego terytorium.

„Targ“ próbek i wzorów

Podstawowym zadaniem targów było wzmocnienie i usprawnienie wymiany. Stosownie do zakresu rzeczowego i zasięgu terytorialnego handlu targi mogły mieć charakter branżowy lub ogólny, krajowy lub międzynarodowy. Handel doraźny — z rąk do rąk — zastąpiony został na targach systemem próbek i zamówień. Wystawianie wzorów produkcyjnych powodowało również, że nabywca na targach był kupiec, a nie bezpośredni konsument danego towaru. Sprzedaż detaliczna, jeśli w ogóle istniała, miała charakter uboczny i raczej propagandowy, zwiedzająca zaś publiczność zasadniczo nie brała udziału w targach sensu stricto, to znaczy w imprezie handlowej.

Znaczenie gospodarcze targów uwewnętrzniało się najdotkliwiej w ich zasięgu terytorialnym i stopniu trwałości. Strefa oddziaływania niektórych targów była tak rozległa, że pretendowały one nawet do miana targów światowych. Należały do takich w pewnych okresach Targi Lipskie i Lwowskie.

Jak było gdzie indziej

Uzupełnieniem targów zmierzających do objęcia całokształtu wytwórczości przemysłowej były targi, na których przedstawiono bądź produkcję artykułów sezonowych, bądź wytwórczość jednej gałęzi przemysłu. Niektóre z targów branżowych osiągały duże znaczenie międzynarodowe. Należały do nich liczne bardzo w koloniach brytyjskich targi rolne, targi poświęcone produkcji wina, jak na przykład we Francji, targi browarnicze w Anglii, słynne targi na konie w Weronie, futrzarskie w Londynie i Lipsku, salony samochodowe itd.

Nie wszystkie targi mogły wykadzać się podobnie długą tradycją i równie poważną rolę gospodarczą, jak targi w Lyonie i Lipsku. Olbrzymia ich większość pojawiła się po I wojnie światowej, w niestabilizowanych warunkach gospodarki po wojennej, realizując najczęściej partykularne interesy poszczególnych miast czy regionów, i nie przetrwała próby kryzysu gospodarczego lat 1929—1933. W Europie istniało podówczas 26 targów ogólnych i międzynarodowych, z czego 23 zrzeszonych było w U.F.I. Spośród nich 16 targów wykazywało się stałym, choć nierównomiernym wzrostem ilości wystawców, zwiedzających i obrotów, a zaledwie 3 instytucje targowe owały się bez subsydiów z zewnątrz (w tym również i Targi Poznańskie).

Jako rynek zbytu...

Targi Poznańskie należały do najbardziej żywotnych targów europejskich. Nie posiadały wprawdzie ciężaru gatunkowego Targów Lwowskich czy Lipskich, ale bez wątpienia były one z rzędu wielkich imprez targowych. Należy tu jednak od razu stwierdzić, że międzynarodowa ich pozycja miała swe oparcie nie tyle w potencjalnie gospodarczym naszym kraju, który wykazywał tendencję regresywną, ile w półkolonialnym charakterze Polski przedwojennego, traktowanej przez kapitalistów zachodnich jako korzystny rynek zbytu produktów przemysłowych w zamian za surowce i półfabrykaty.

Targi Poznańskie przedstawiały najczęściej spotykany typ targów — ogólnych i międzynarodowych. Dążyły one do objęcia całokształtu krajowej

produkcji przemysłowej, obliczonej tak na potrzeby rynku wewnętrznego, jak i na eksport, oraz były terenem, na którym demonstrował się przemysł państw obcych, zainteresowanych polskim rynkiem zbytu.

Cechą specyficzną ekspozycji targowej było, iż obejmowała ona zasadniczo tylko te towary, które podlegały ciągłej modernizacji. Ostra walka konkurencyjna o zbyt towaru i po goń za zyskiem, właściwe systemy kapitalistycznego, szczególnie jaskrawo występujące w okresie kryzysu, sprawiały, iż wystawcy prześcigali się w prezentowaniu na targach coraz bardziej pomysłowych i atrakcyjnych towarów. Modernizacji nie podlegała żywność, bawełna lub węgiel, tylko zaś w małym zakresie produkcja np. szyn lub blachy i dlatego ten typ towarów, wchodzących za zwyczaj w zakres działania karteli i wymiany giełdowej, nie stanowił na ogół obiektu targowego.

Reakcja łańcuchowa (w handlu, oczywiście)

Transakcje targowe, dotyczące w większości towarów stanowiących nowości produkcyjne, nie sprawdziły jeszcze pokupności, miały prawie wyłącznie charakter próbnego. Przy sprzyjającej koniunkturze mogły stanowić pierwsze ogniwo całego łańcucha transakcji, wielokrotnie przewyższających pierwotny zakup próbnego na targach. Stąd wniosek, że efektów gospodarczych targów nie można mierzyć jedynie ilości transakcji dokonanych na samych targach. Przejawiały się one bowiem we wzmocnionej produkcji i zwiększonych obrotach danymi artykułami w dłuższych okresach czasu.

Targi jednak nie ograniczały swej roli gospodarczej do umożliwienia dokonania transakcji na wystawiane towary. Dochodził na nich poza tym do skutku międzynarodowy handel kompensacyjny, którego przedmiotem mogły być również tzw. towary nietargowe.

Większość transakcji kompensacyjnych odbywała się między państwami o nierównym uprzemysłowieniu, o dopełniającej się niejaką nawzajem strukturze gospodarczej. Z jednej strony przedmiotem transakcji były wyroby przemysłowe o wysokim stopniu obróбки, z drugiej — półfabrykaty lub surowce. Kompensata w warunkach systemu kapitalistycznego nie była więc niczym innym jak wyzyskiem słabych, stojących na niskim stopniu rozwoju krajów przez zasobne, potężnie uprzemysłowione państwa. Zafascynowana przemysłowością Polska była dogodnym partnerem w handlu kompensacyjnym dla zachodnich państw kapitalistycznych, zbywających tutaj nader korzystnie swe wysoce wartościowe wyroby. Szczególnie żywa działalność na tym odcinku przejawiała na Targach Poznańskich Niemcy.

Ostatnia nieudana próba

W okresie międzywojennym ujawniała się coraz bardziej tendencja do traktowania Targów Poznańskich jako przekroju życia gospodarczego i wykładnika ogólnej polityki gospodarczej Polski kapitalistycznej. Znalazło to wyraz w powołaniu w 1933 r. z inicjatywy Dyrekcji M.T.P. Rady Interesentów Targowych, największego, jakie dotychczas w Polsce istniało, zrzeszenia gospodarczego. Rada Interesentów Targowych, grupując tzw. samorząd gospodarczy i wszystkie branżowe związki gospodarcze kraju, stanowiła faktyczny ośrodek dyspozycyjny całej ówczesnej gospodarki polskiej. Podniesienie Rady Interesentów niejako do roli gospodarza Targów stworzyło zupełnie inny stosunek zarówno zrzeszonego przemysłu, jak i poszczególnych placówek wytwórczych do Targów Poznańskich. Targ przestał być stroną kontraktu natomiast stały się wewnętrznym dla gospodarstwa krajowego, własnym organem dyspozycyjnym.

Kontynuację tych tendencji stanowiło stworzenie w 1938 r.

REINKARNACJA, SPIRYTYZM I BLAGA
czyli w co naiwni potrafią uwierzyć

Czy słyszeliście kiedyś o reinkarnacji? Słowniki wyrazów obcych mówią, że jest to „ponowne wcielenie”, innymi słowy: powtórne przyzwanie powłoki cielesnej. Oczywiście, istnieją na ogół inne zmartwienia o problemu reinkarnacji, lecz w Ameryce słowo to urosło do miary zagadnienia.

Cała historia rozpoczyna się i wiąże z pewną kobietą nazwiskiem Bidey Murphy. Na jej ślad wpadł niejaki Barker, pracujący jako reporter w gazecie „Post” wychodzącej w Denver (USA). Jak już pisałem przed kilku miesiącami opisał on w tajemnicowym cyklu artykułów dzieje pewnej rudowłosej dziewczyny, która jako córka adwokata Duncana Murphy przysłała na świat w roku 1798 w irlandzkim mieście Cork, by później w roku 1864 zejść z tego świata w Belfast, już jako żona profesora uniwersytetu na wydziale prawa o nazwisku Brian Mac Carthy. Z kolei ta sama — według wersji podanej przez reportera Barkera — ujrzała ponow

nie światło dzienne w roku 1923 jako Virginia Thighe, tym razem na odmianę — w Ameryce.

Trys'a dolarowe źródło...

Początkowo Virginia Thighe nie zdawała sobie sprawy ze swej reinkarnacji i dopiero, gdy już jako matka trojga dzieci wyszła za mąż za Morey Bernsteina, ten ostatni odkrył w niej nagle jej niezwykle dzieje przeszłości. Morey Bernstein zajmował się po amatorsku hipnozą i kiedyś eksperymentując z własną żoną, dowiedział się od niej, że żyła ona... w wieku XIX. Po sześciokrotnym odbyciu seansów opowiedziała mu wiernie o Irlandii, o swoim życiu i nawet o własnym... pogrzebie.

Reporter Barker „rozpracował” należycie detale, a ogłoszeniu ich w gazecie „Post” reakcja została zalana nie kończącym się strumieniem listów. Wkrótce również i małżonek „ślubnego medium” wywieszył w tym wszystkim doskonały interes. Nie oglądając się na gazetę — siadł, napisał książkę o dziejach swej żony i znalazł wydawcę. W styczniu br. ukazało się w nowojorskim domu wydawniczym „Deubleday & Co” dzieło pt. „Poszukiwania za Bidey Murphy” przy czym już w drugim miesiącu książka osiągnęła zawrotną cyfrę 171 tysięcy egzemplarzy nakładu.

Interes się rozkręca...

Nie trwało długo, a książkę rozpoczęły drukować 42 pisma. Jednocześnie pewna wytwórnia filmowa w Hollywood zakupiła u Bernsteina za sumę 50 tysięcy dolarów prawa do nakręcenia filmu. Niebawem rozpiewała się Ameryka szlagierami, noszącymi takie tytuły, jak „Miłość Bidey Murphy”, bądź „Ballada o Bidey Murphy”.

Stopniowo psychoza ogarnęła coraz szersze kręgi społeczeństwa amerykańskiego: każdy, po prostu, pragnął się dowiedzieć, co porabiał przed swoim urodzeniem. Pewien kalifornijski hipnotyzer zamieścił ogłoszenie w prasie, że za jedne 25 dolarów postara się odkryć każdemu jego poprzednie „wcielenie”. Nocne kluby, bursy studenckie, wille milionerów i kantyny żołnierskie stały się nagle widowiskami zbiorowych, tajemniczych posiedzeń. Tytuł zapalało żądza poznania swej przeszłości.

Pewna starsza dama w Los Angeles dowiedziała się w ten sposób, że około roku 1800 była sobie najwykleszszym koniem, a w Shrewport (stan Luizjana) 17-letni student osiągnął swoisty rekord „cofając” życie pewnego medium o całe 10 tysięcy lat, do wczesnej epoki brązu. Wypada także dodać, że podnieconym widzem przypatrzył się posiedzeniu spirytystycznym, zaczęto podawać specjalny napój trunkowy pod nazwą „Reincarnation „Cocktail”, który skomponował pewien przedsiębiorczy barman. Nie obyło się także bez ofiar: 19-letni czeladnik drukarski Swink z Oklahoma napisał w przystępie zamroczenia kartkę: „Muszę się oświadczyć przedkończyć, czy historia z Bidey Murphy polega istotnie na prawdzie!” List położył na stole a potem strzelił sobie w głowę.

Fakty i fałszy

Wkrótce redakcja „Post” nie mogła dać sobie rady z nadzysyłanymi zapytaniem. Wysłała więc Barkera do Irlandii, aby ten zbadał dokładnie dzieje Bidey Murphy. Barker grzebał się nieczym pszczoła w księgach metrykalnych, lecz nie znalazł niczego, co byłoby związane z osobą Murphy. Co więcej! Aktualna Virginia Thighe miała rzekomo — według jej somnambulicznej wypowiedzi — zamieszkiwać w roku 1804 w pewnym irlandzkim drewnianym domu w Cork oraz spać w łóżku metalowym. Niestety, Barker zmuszony był z dużym rozczarowaniem donieść czytelnikom, że w tymże Cork stały w owym czasie wyłącznie domy kamienne a w dodatku żelazne różka pojawiły się dopiero około roku 1950. Również „objawiony” podczas seansu

fakt, jakoby mąż jej (wspomniany już Brian Mac Carthy) miał być profesorem prawa w Belfast, okazało się fikcją, ponieważ uniwersytet belfaski nie posiadał w tym czasie takiego wydziału. Reporter Barker powrócił z niczym do Ameryki i rozpoczął tłumaczyć seansowe wypowiedzi Murphy vel Thighe w sposób filologiczny i fonetyczny. Lecz i tu wy powieź jej, dokonywane w transie hipnotycznym, wykazywały tyle naleciałości amerykańskiego slangu (język gwarowy!), że i ten dowód z jej przeszłego życia rozwił się jak dymek.

Gdzie leży pies potrzebany?

Wielu uczonych psychiatrów, których ten problem zainteresował, doszło do ciekawych wniosków. Według ich zdania, miss Virginia Thighe udziela wprawdzie wypowiedzi w czasie trwania seansu, lecz nie z okresu swego „pierwszego” życia, ale po prostu wypowiada słowa i myśli, które tkwią w jej podświadomości. Innymi słowy: ponieważ jej rodzice byli pochodzenia irlandzkiego, więc nie dziwnego, że mogli oni w okresie jej niemowlęctwa przekazać dziecku pewien zasób wiadomości o rodzinnym kraju wraz z pojęciami i odczuciami wyrazami. Z kolei, Virginia Thighe, jako dobre medium oddawająca obecnie podczas snu somnambulicznego, przekazane jej omgi obrazy.

Jakkolwiek byłoby, Ameryka ma obecnie nową „modę”. Publiczka otrzymuje swoje porcje sensacji, a przedsiębiorczy businessmeni zdobili już ubić na nieziemskiej „reinkarnacji” całkiem przyziemny kapitał dolarowy. A o to przecież chodziło. M. J.



RÓŻA z... kolcami!

O wyskokach amerykańskiej mody kobiecej pisało się już wiele. Były kolorowe paznokietki, tęcze włosy, przedziwne tatuaże na plecach i... gdzie indziej, kolorowe rybki na tyłkach, kajdanki na pęczkach i kółka w nosie. To jednak, co zademonstrowała ostatnio piękna artystka filmowa szwedzkiego pochodzenia Anita Ekberg, bije wszystko, nie tylko swoją ekstrawagancją, ile orygi-nalnością. Posągowa gwiazda Hollywoodu (wtajemniczeni na zrywają ją górą lodową!) pojawiła się publicznie z misterną różyczką wymalowaną na policzku. Oczywiście wzbudziła sensację, niemając, zyskując od razu wielki aplauz i tysiące naśladowczyń. Niemniej, jedna ze słodowczyń, gwiazda szwedzkiej sztuki powiedziała z przekąsem: „Owszem, różyczka nieczegodnie sobie... lecz biała tona, kogo ukuja kolce Anity”.

(J)

Rozmaitości :: Rozmaitości :: Rozmaitości

Australijska gazeta „Sydney Times” donosi: „Austriacki następca tronu Franciszek Ferdynand nie został zamordowany w Sarajewie i mieszka obecnie na Hawajach pod przybranym nazwiskiem, będąc żonatym z pewną wyspiar-ką”.

Pierwsza wojna światowa wybuchła wobec tego całkiem niepotrzebnie.

Dwieście mieszkańek Moskwy uczestniczyło podczas inauguracji „Tygodnia mody brytyjskiej”. W związku z tym wydarzeniem publiczność stolicy ZSRR żywo dyskutuje czy wprowadzić modę londyńską czy paryską.

Po raz pierwszy wręczona została „Nagroda im. Alberta Einsteina”, ufundowana dla pisarzy oraz uczonych. Odnaczone nią senatora Lehmana, poetę Sandburga, matematyka Neumanna oraz doktora Cobba.

Dzienniki Jordańskie przyniosły wiadomość o odkryciu w odległości 80 km od Ammanu groty, w której znaleziono doskonale zachowane groby sprzed 5000 lat.

Faszyści rzymscy obchodzili uroczyste rocznicę śmierci Mussoliniego; w dwóch kościołach odprawiono żałobne msze św., a neofaszystowski dziennik „Secolo d'Italia” opublikował ogromne zdjęcie dyktatora w czarnej kozuli. Równocześnie zamieszczono dwukolumnowy artykuł zatytułowany „Włóczęg żywy jak zwykle!”.

W Nowym Jorku sprzedany został na aukcji pewien niemiecki znaczek pocztowy z roku 1851 za cenę 20 tysięcy dolarów: chodzi tu o unikat, który wydrukowano na papierze koloru zielonego, zamiast na różowym. Jest to największa cena, jaką kiedykolwiek uzyskał znaczek w USA.

Słynna niegdyś artystka filmowa niemieckiego pochodzenia Mar-

lena Dietrich (obecnie jeszcze nadal w pretensjach) powiedziała: „Nie ma w ogóle starych kobiet; są tylko młode oraz takie, które mają tyle doświadczenia, aby być wiecznie młodymi”.

Podczas Festiwalu Filmowego w Cannes postanowiono, aby Festiwal Filmowy w Karłowycach Varach włączyć również do międzynarodowego kalendarza imprez kinematograficznych. Czechosłowacja organizuje swoją imprezę corocznie w lipcu.

Sekretarz generalny ONZ Dag Hammarskjöld otrzymał od holenderskiego stowarzyszenia pałacowy fajek „honorową fajkę pokoju”.

Zachodnio-niemieckie pismo dla nauczycieli „Der Pflüger” zamieściło następującą wzmiankę: „Nadział spotkać można jeszcze w Niemczech zachodnich atlasy szkolne, w których nie znajdzie się mapy Związku Radzieckiego.

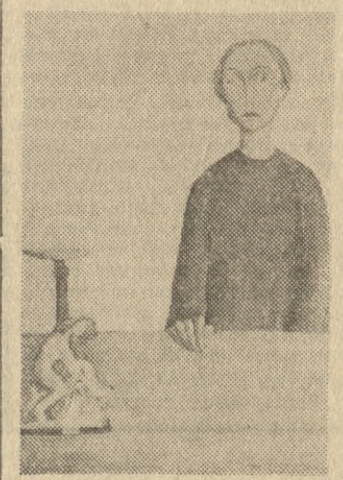
Jeden z najslawniejszych dyrygentów orkiestr jazzowych Stan Kenton, jest jednocześnie jednym z wybitnych lekarzy psychiatrów.

Wielce podenerwowany wpadł do komisariatu policyjnego w Rzymie niejaki Gustavo Zattini meldując, że z auta wykradziono mu walizeczkę z cenną zawartością. W kilka chwil później zjawił się ponownie, donosząc tym razem o kradzieży... auta!

Dyrektor Muzeum Narodowego na Ceylonie oświadczył, że w przeciągu najbliższych dwustu lat, słoniom azjatyckim grozi kompletne wyniszczenie; zaproponował on, aby owe wielkocouchy ssaki zaaklimatyzować w puszczech Południowej Ameryki.

Znakomity pisarz amerykański John Steinbeck, powiedział niedawno: „My, pisarze, nie powinniśmy nigdy czytać recenzji krytycznych. Jest już wystarczająco źle, że krytycy czytają nasze książki, zanim one dostaną się do rąk czytelników”.

R-55

RAJMUND DYBCZYŃSKI
Pani w zieloniANDRZEJ MATUSZEWSKI
Kobieta z lampąIRENA PSARSKA
Portret z koralami (olej)
Fot. (3): K. Przychodzki

z inicjatywy sanacyjnego rządu Komitetu przy Związku Izby Przemysłowo-Handlowych oraz Komisji Międzyministerialnej. Te dwie instytucje miały — według zamierzeń inicjatorów — „koordynować politykę Targów z planami gospodarczego rozwoju Polski. Działalność ich trwała wszakże zbyt krótko, by można było mówić o poważnym wpływie na działalność Targów, nie mówiąc już o zupełnie iluzorycznym charakterze „planów gospodarczego rozwoju Polski” przed 1939 rokiem.

NA SZLAKACH KOMET

— W chwili, gdy wszystkich wódor przekształci się w hel — podsumowywał Euve — wskutek nadmiernego wzrostu gęstości i temperatury, u gwiazd pewnego typu, następuje włączanie wolnych elektronów w jądra atomów. Elektrony neutralizują ładunek jąder i przekształcają je w neutrony, po-

— Koleżanka ma rację — zaczął — dawniej człowiek przeciwstawiał ogromowi swej niewiedzy, ogromowi swych namietności, ale przecież nowych form humanizmu nie potrzebujemy szukać tak daleko. Przeszłość nie zdołała przynieść teraźniejszości. Cóż, że być może żyją jeszcze wśród nas ludzie, którym bardziej podobają się ciężkie posagi kamiennych bogów od na-

— obu relatywistycznych zegarów synchronizacyjnych, różniły się o dwie sekundy. Zegar wskazujący bieg czasu atomów ziemskich, wyprzedził czas biologiczny podróżnych, mierzony rytmem serca i starzeniem się komórek, o dwie sekundy. Wyprzedzenie to, choć nader nieznaczne, zostało przy obiedzie uczczone toastem, ponieważ stanowiło pierwszy tego rodzaju wypadek w dziejach ludzkości.

Dni, które potem nastąpiły, stały pod znakiem oczekiwania słońca. Wszyscy wracali do swych najbliższych i zwierali się nawzajem z pragnieniem, tęsknotą i nadzieją. Wiadomość, że statek najpierw wylądował na Marsie, aby zabrać na ziemię naukowe materiały i zabytki pradawnej kultury, odkrytej w podziemiach wymarłego miasta na Wielkiej Syrcie, wywarła na podróżnych ogromne wrażenie, gdyż dowodziła, że także wyższe formy życia powstają wszędzie, gdzie tylko istnieją możliwe warunki rozwoju.

Bara pomyślała z ciekawości. Minęły czasy jej przymusowego pragnienia. Wyłaniały się wspaniałe perspektywy nowej pracy, wobec których niedawne pytanie Bowskiego stało się w całym swym bezsensie.

Po kilku dniach słońce stało się znów najjaśniejszą gwiazdą nieba. W kabinach, w których było widoczne, zapanał dzień i można było wygasić światła. Niebawem przecięto orbitę Plutona. Szybkość opadła znacznie i wszyscy pozostawali pod wrażeniem możliwości spotkania w tych okolicach pierścienia nowych asteroidów. Niezapomniane wrażenie pozostawił przelot w sąsiedztwie Jowisza i jego jedenastu księżyców. Olbrzymia kula, jakby wytoczona i odpolerowana na tokarkę, zasłoniła jedną czwartą części nieba. Podróżni obserwowali ruchome pasma chmur z amoniaku i metanu, przesuwające się wzdłuż równika planet. Podczas, gdy astronomowie przeprowadzali dokładne badania szybkości obrotowej Jowisza, która podobnie, jak u słońca, jest większa na równiku niż na biegunie, Dag Rossa fotografował widmo olbrzymiej, czerwonej plamy, zawieszzonej nieruchomo w górnych warstwach atmosfery a stanowiącej do tej pory zagadkę dla nauki.

Gdy Jowisz pozostał w tyle, uwagę przykuwał już tylko Mars, który jak czerwona latarka sygnalizacyjna, pojawił się na ekranie i odtąd stopniowo rósł, aż za kilka dni całe niebo.

Obiegłszy kilkakrotnie po spirali glob planet, przy blaskach nisko stojącego słońca, statek, prowadzony przez goniometr z Wielkiej Syrcy, opadł na płaskowzgórze, tuż przed obozowiskiem, rozbitym przez ekipy naukowo-badawcze.

Bara nie czekała na nikogo. Ciekawość przypięła jej skrzydła i podczas gdy wszyscy za okragłym stołem, spowitym w obłoki niebieskiego dymu tytoniowego kończyli śniadanie, wybiegła przed barak.

Światło. Ciemne sylwetki dwóch gąsienicowych łazików z przyciemnionymi światłami stały przed garażem, jak dwa buldogi przed budą. Na zaróżowionym niebie widniały rusztowania i druty radiostacji a na przeciw sterowały trzy wzniecone sylwetki rakiet. Stopy zostawiały na gruncie czarne ślady. Był szron.

Przy jednym z samochodów zamajaczyła postać ludzka. Człowiek ubrany w ciężki barani kożuch się gający mu do kostek rozgrzewał się objając rękoma po bokach. — Słychać było stłumione miękkie uderzenia rękawów, przypominające pracę pomp.

Barze wydało się, że jest na Ziemi. Tak rozgrzewali się przecież pracownicy leśni w tajgach północy. Podniosła oczy w górę, chcąc ujrzyć dawno niewidziany błękit. Ciemnogranatowe niebo bez cienia zachmurzenia, połyskiwało złołą ulewną gwiazd. Dwa malutkie i wąskie sierpy świeciły nisko po obu stronach widnokręgu.

Fobos i Deimos — strach i przerażenie: dwa synowie boga wojny zdążają na spotkanie — pomyślała dziewczyna, przypominając sobie, że bliższy księżyc Marsa „Przerazenie”, wyprzedzając obrót planety dookoła swej osi, codziennie wschodził dwukrotnie na zachodzie i w ciągu doby dwukrotnie przechodził wszystkie fazy.

Obserwowała przez chwilę tę tę dyną w układzie słonecznym anomalie i widok 2 księżyców jakby przeglądających się nawzajem w zwierciadle, rozwił w niej ziemskie refleksje.

— Zimno! — posłyszala nagle czyjś głos. To kierowca samochodu zbliżył się do niej, połyskując oszronionym filtrem maski tlenowej ledwo widocznym spoza szerokiego futrzanego kołnierza.

Bara teraz dopiero poczuła, że naprawdę jest bardzo zimno, i zatelesniła za termicznym kombinosem, który jako zbyt ciężki i niewygodny nie nadawał się do pracy w warunkach planetarnych.

Kierowca tymczasem przestępował z nogi na nogę.

— Osiemdziesiąt stopni mrozu — powiedział, ale gdy przyjeździemy

na Syrtę można będzie zrzucić to wszystko — ręką musnął kożuch — przecież jest lato. W południe będzie ciepło i gdyby w tych kanałach była woda, można by się nawet kąpać...

— Byłście już w podziemiach — przerwała dziewczyna — podobno nadzwyczajne rzeczy?!

Kierowca przytaknął.

— Pewnie, że byłem. Codziennie wywożymy stamtąd zabytki, ale to wszystko jest uszyte nie na naszą miarę.

— Co macie na myśli?

— Za duże! Tutejsi mieszkańcy byli olbrzymami, jak w podróży Gulliwera.

— Olbrzymami? — powtórzyła Bara i nagle uświadomiła sobie, że przecież na Marsie ciążenie jest trzykrotnie mniejsze niż na Ziemi. Organizmy więc dostosowały się do lepszej wagi i rozbudowały swe wymiary.

— Tu wszystko nie tak jak na Ziemi — ciągnął dalej kierowca — Horyzont mały a najdłuższa jest niebieska trawa. Wygląda jak gdyby ktoś pomalował ją farbą do prania.

— Za mało ciepła — powiedziała Bara — rośliny pochłaniają promienie czerwone i zielone...

— Wiem, wiem, podobno na Wenus wszystko jest czerwone.

— Skąd wiesz?

— Jakżeż — poruszył się kierowca — przecież pracuję już 8 lat w Instytucie Odpawczym.

Barze zrobiło się przykro. Pytanie jej wypadło nieaktownie.

— Jak się nazywasz? — spytała uśmiechem usiłując zatuszować nieśmiałość.

— Czang-Huan. Należę do ekipy profesora Kao Matsuoki — wyjaśnił zapytany, i udając, że nie zauważył zmieszania się dziewczyny ciągnął dalej:

— Dziw po prostu bierze, gdy się pomyśli czym się żywił ci ludzie. Wody jak w aptece. Tyle co szronu. Poza tym trawa, mech i jakieś jagody a ze zwierząt żyły tu tylko jakieś na wpół lemingi, na wpół mu reny ze skrzelałmi.

Czang-Huan uśmiechnął się: Powietrze też rzadkie na szczytach Tian-Szanu i to lepsze. Tutejsi ludzie też mieli skrzelał...

Smuga światła padła od strony baraku. W obłokach dymu pojawił się ktoś.

— Chodź! — Mijając ją rzucił Dag Rossa. — Jedziemy w aucie profesora Matsuoki.

Reflektor liźnął kredowym językiem piramidę skrzyń i beczek, — przez parę chwil kołysał się między barakami i wreszcie wyprostował się na gładkiej płaszczyźnie.

Wszyscy milczeli. Rozwidniało się powoli. Rachityczne księżycy zbladły. Wyjeżdżona świeża droga węzową linią omijała nierówności. Z lewej widniały czerwone wzniesienia, utworzone z piaskowców ułożonych warstwami. Na przodzie jak okiem sięgnąć ciągnęła się biaława przemarznięta równina. Wzdłuż drogi, za grzbietem, tu i ówdzie rozkopanej grobli, przypo minalającej poprzerywany nasyp ko lejowy, odśladł się horyzont, tak samo monotonny jak i na przedzie.

(Ciąg dalszy za tydzień)

MIK

Z NASZEGO PODWÓRKA

I

Gdy u nas otwiera się nowa wystawa plastyków, zdania recenzentów są zwykle podzielone. Nawet tych, którzy wystawę oglądają.

II

Naszemu środowisku literackiemu potrzebny jest rzeczywiste periodyk. W kilkunastu pierwszych numerach można by szeroko wyjaśnić, jak to się stało, że dotychczas periodyku nie było.

III

Bijmy się mocno o telewizję w Poznaniu! Przy złej słyszalności będziemy mogli naszą radiostację chociaż widzieć.

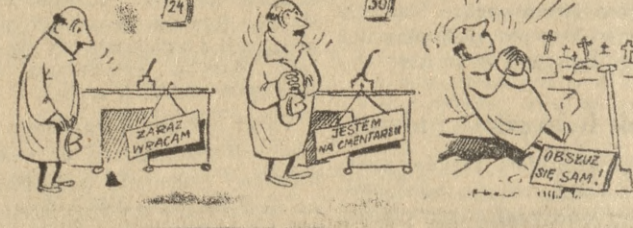
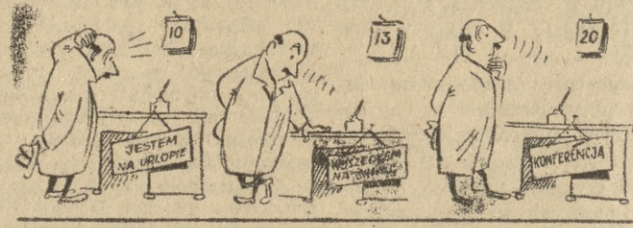
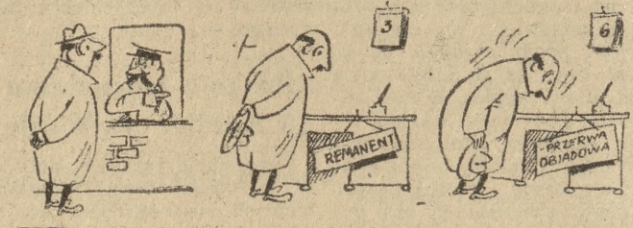
IV

Po prapremierze w Teatrze Polskim zapytano kogoś, co sądzi o „Pierwszej miłości”.

— No cóż — brzmiała odpowiedź — tak już w życiu bywa: przyjemnie wspomnieć, ale traktować jej zbyt poważnie nie trzeba.

V

Wszyscy cieszyliśmy się, gdy z matki WRN i ojca Szczerbowskiego urodzić się miało upragnione i długo oczekiwane dziecko: pierwszy program poznańskiej operetki. Ale ostatnio o porodzie nic nie słychać. Czyżby to były pierwsze konsekwencje sejmowej ustawy o warunkach dopuszczalności przerywania ciąży?



Rys. H. Derwich

WITOLD DEGLER

Traszk

„Śmiały” piórach

Są przykładami śmiałych natur, bo żyją w zgodzie z... „imprimatur”.

Ostrzeżenie

Gdy Pegaz rusza z kopyta, niech pan za ogon nie chwyta!

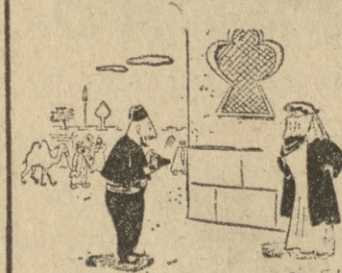
Wątpliwy „Spiritus movens”

Nie „spiritus” żeń — akurat, raczej tylko denaturat!

O mięszu

niektórych spraw poznańskich

Doprawdy trudno wgrzyźć się w mięszu, co kością w gardle staje wciąż!



Uśmiechnij się, kochanie!



— Nie mogę z nim walczyć w zwarcu. On jadł cebulę.



— Oho, od razu widać, że pan jest nie pierwszy raz u dentysty!



Rys. L. Kapeczyński

siadające rozmiary jąder, lecz pozbawione ładunku elektrycznego i przez to układające się bez porównania ciasniej. Pod ciśnieniem zewnętrznym objętość takiej gwiazdy maleje i wówczas wyzwala się gwałtownie energia grawitacji. Nadmiar promieniowania zrywa w przestrzeń zewnętrzne powłoki a reszta zapada się ku środkowi, jak domek z kart, osiągając gęstość taką, że centymetr sześcienny materii gwiazdy osiąga wagę trudną do obliczenia. Promień gwiazdy, która podczas wybuchu przekracza rozmiarami układ słoneczny, maleje do pięciu kilometrów.

Euve wypił łyk wody i ciągnął dalej: — obiekt Rena jest właśnie neutronową pozostałością po supernowej gwiazdzie, która przed wielu miliardami lat wybuchła w naszej galaktyce. Nic więc dziwnego, że radaroskopy ze względu na znikomą wymiary, nie mogły go pochwycić, mimo że odległość obiektu od ziemi była mniejsza niż dotąd przypuszczano. W związku z tym uważam, że pogoni za obiektem w nadziei pobrania próbki jego materii przez „Goliata”, chybia celu. „Goliat” zostałby zmiażdżony własnym ciężarem z chwilą, gdy próbowałby się doń zbliżyć. Poza tym — Euve chrząknął i z zakłopotaniem spojrział na Erivana i Dag Rossę — jeśli uwzględnimy nowe dane matematyczne, to musimy dojść do przekonania, że lecimy w niewłaściwym kierunku.

Takiego wyniku nikt nie oczekiwał. Powstała ogólna konsternacja. Inżynierowie otoczyli nawigatora. Jedynie Bowski wrzucił ramionami.

— Poco to wszystko — powiedział — rzucamy się jak dzieci z zawieszanymi oczyma przy grze w ciuchubabkę. To nie może się dobrze skończyć.

Nikt nie zareagował na to odezwanie się. Jedynie Bara zrozumiała nagle, że Bowski cierpi na brak godności, płynącej z poczucia odwagi i pewności siebie. Człowiek dzisiejszy nie potrzebuje przecież bać się niepojętego i dlatego jest wspaniałomyślny w poczuciu swej sily. Bowskiemu braknie właśnie tej wspaniałomyślności. Fanatyczna mitów urzekła go i z lęku przed niepoznawalnym plynie jego egoizm i nienawist do nauki, której nie może zrozumieć. Jest wrogi wszystkiemu co dzisiejsze, bo należy do minionej epoki. Wrogi w ten sposób, w jaki wroga jest pierwotna polarna tundra subtelnym, ciepłanym kulturom, jak palenie na stosie czarownic. teozom prawdziwego humanizmu.

Przez cały dzień Bara porała się z myślami i dopiero wieczorem, gdy w głównej kabinie, oczekując na sprawozdanie inżynierów, zaczęła mówić o destruktywnym wpływie wierzchoła na myśl naukową. Bowski poruszył się niespokojnie i spoglądając na Tinę, uśmiechał się ironicznie.

„Może domyśla się, że znam jego pamiętniki?” — pomyślała Bara, spostrzegłszy, że formułowała swe wnioski, jako odpowiedzi na jego myśli. Poczuła, że się rumieni i usiadła szponami. Oczekiwała natychmiastowego ataku, lecz/niepodziewanie odezwał się Loiseau.

szyszy szybszych niż myśli statków kosmicznych. Ludzie ci przemieniają jak przemieniają w przyrodzie gatunki niezdolne do przystosowania się do nowych warunków. Etyka i moralność nie zwraca uwagi na nich. Zakwita wśród nas coraz wspanialej. Wystarczy tylko rozzerzeć się wokół.

Gdy w czasie naszego pobytu na komecie, wyczerpany do kresu sił szedłem do chorego doktora Carima, nie wiedząc, jak mam zaproponować mu, aby zastąpił mnie na parę godzin w pracy, doktor Carim wyczuł bez słów o co chodzi. Uśmiechem zamaskował swą słabość. Cechą współczesnego człowieka jest umiejętność przewidywania potrzeb drugiego człowieka. To jest właśnie charakterystyka naszych czasów w odróżnieniu od hipokryzji i obłudy przeszłości.

Loiseau usiadł.

Ma rację — pomyślała Bara — „zdolność przewidywania”, coś w rodzaju porozumiewania się za pomocą spostrzeżeń psychologicznych. W tym tkwi prawdziwa wiedza o człowieku. Zrozumiała również dlaczego Dag Rossa, gdy w swoim czasie przyszła do niego prosić o wyjaśnienie sytuacji na Wenus, bez pytania z jej strony, zaczął mówić na interesujący ją temat; dlaczego potem w takiej a nie innej chwili zaproponował jej małżeństwo. To były także przewidywania, które nie zawiodły w obu wypadkach.

— Mówicie o przeczuwaniu, o wspaniałomyślności — przerwała jej rozmyślenia słowa Bowskiego — a ja się spytałem dlaczego w takim razie nikt z obecnych nie potrafi przewidzieć i przeczuć takich rzeczy, które nimie boją. Po prostu boją — Bowski położył rękę na sercu a na twarzy jego Bara dostrzegła teatralny grymas. Lecz nim zdążył wypowiedzieć następne słowa, w drzwiach pojawił się Nik Ligłński.

— Nawlizałem łączność z ziemią — wykrzyknął — nie mogli nas odnaleźć. Wzywają do powrotu! Na Marsie nadzwyczajne odkrycia.

Wszyscy zerwali się na równe nogi i otoczyli nawigatora. Nadszedł Dag Rossa i Erivan.

— Sprawa sama się rozstrzyga — uśmiechnął się Dag Rossa, — Czy połączenie jest utrzymane?

— Tak jest. Podałem dokładne współrzędne i szybkość. Nie zgubia nas więcej. Prosimy, aby podać zmieniony kurs powrotny.

— Chodźmy!

Po usłyszeniu tej rewelacji Bara rzuciła się na szyję Tyny, jedynej osoby, na której ta wiadomość nie wywarła spodziewanego wrażenia.

— Czemu się nie cieszysz, wracamy na Ziemię — zawołała, szarpając przyjaciółkę, jakby chcąc udzielić jej część swojej radości.

Tina uśmiechnęła się niewyraźnie.

— Ciesz się, masz znowu cud. Zaledwie Euve stwierdził, że lecimy źle, a już ziemia nas odwołuje. Co ty na to?

— Chodźmy przekonać się, czy to prawda — oświadczyła Tina.

Na potwierdzenie wiadomości nie trzeba było długo czekać. Już po kwadransie megafon zapowiedział zmianę kursu i niebawem fakt, że wszyscy zaczęli chodzić w pozycjach lekko pochylonych do pionu podłogi, oznajmił, że rozpędzony statek zatacza olbrzymi łuk w przestrzeni międzygwiazdowej.

W chwili osiągniętego maksimum szybkości, wynoszącej 20 tysięcy kilometrów na sekundę, wskazania